

WITOLD JANKOWIAK
Instytut Filozofii UMK

PRZECIWIW MODZIE NA WYKSZTAŁCENIE UNIWERSYTECKIE

Niech perspektywę niniejszej myśli wyznaczają słowa polskiego myśliciela politycznego – Andrzeja Frycza Modrzewskiego, który w roku 1551 pisał: „Przede wszystkim trzeba troszczyć się o nauczycieli i uczniów; nauczyciele powinni być ogólnie uznani za odpowiednich do pracy, uczniowie zaś wybrani wedle zdolności, aby jedni do nauczania, drudzy do uczenia się nie okazali się tak powołani jak osły do gry na lutni. Tak bowiem bywa z tymi, których posyłają do szkoły wbrew ich naturalnym uzdolnieniom; z takiego posiewu rodzą się ludzie do niczego (...)”¹.

Jeśli zastanowić by się nad człowiekiem funkcjonującym w dynamice mody to łatwo zauważyć, że reguluje ona jego myślenie i zachowanie w sposób trudno dlań uchwytny. W naszej kulturze zjawisko mody odgrywa rolę wiodącą, wywiera ona znaczący wpływ prawie na każdą sferę życia, tak publicznego jak i prywatnego. Moda stanowi determinant, który nie tylko trudno jest dostrzec, ale któremu nietłwo się oprzeć, modę przejmuję się niemal automatycznie. Wiąże się z tym szereg niebezpieczeństw. Człowiek bardzo łatwo ulega różnym modom, często nie potrafi ich nawet określić, bardzo łatwo wmówić mu coś, do czego nawet nie będzie miał ochoty krytycznie się odnieść, bardzo łatwo wzbudzić w nim potrzebę czegoś z gruntu rzeczy jemu niepotrzebnego. Moda wyrывa się spod kontroli nawet tych, których nazywamy „dyktatorami mody” - można na przykład wskazywać na fatalne konsekwencje utraty przez nich poczucia odpowiedzialności za tych, którym modę „dyktują”. Potrzeba niemałego wysiłku i odwagi aby zyskać świadomość rządzących społeczeństwem mód i zająć wobec nich pozycję niejako „z zewnątrz” – pozycję nie tylko świadomego

¹ Zob. Andrzej Frycz Modrzewski, *O poprawie Rzeczypospolitej*, tłum. E. Jędrkiewicz, w: tenże, *Dzieła Wszystkie*, t. 1, PIW, 1953, s. 604.

uczestnictwa we wzorcach kulturowych i modach, lecz aktywną wobec nich pozycję krytyczną.

Na przykładzie mody widać jak zaciera się świadomość faktu, że to człowiek jest twórcą kultury, która dopiero wtórnie na niego wpływa². Analiza etyczna zaakcentuje ten fakt. Zauważy to niebezpieczeństwo, że spontanicznie i bezrefleksyjnie ulegając modzie człowiek traci coś dla siebie istotnego. Jest on bowiem kimś takim, kto ma możliwość autodeterminacji, stanowienia o sobie samym, może zależeć sam od siebie – starożytna filozofia nazwie to wolnością. Warto o nią pytać na początku XXI wieku, kiedy nawet naukowo stwierdza się, że kultura, a więc również moda, całkowicie determinuje człowieka w tym, kim on jest.

Spośród różnorodnych mód we współczesnej Polsce pojawiła się moda na wykształcenie uniwersyteckie. Wśród młodych ludzi w naszym kraju, popularnym, pożądanym, cennym staje się posiadanie tytułu licencjata, magistra czy doktora. Wielu absolwentów liceów i techników tłumnie uderza do bram licznych już uniwersytetów. Nikogo nie dziwi status studenta, jest on czymś niemal standardowym. Czy jednak zjawisko to zasługuje na określenie *moda*? Dąży się do jak najwyższego poziomu wykształcenia społeczeństwa. Któż nie chciałby być wykształconym, któryż rodzic nie chciałby posłać swych dzieci na studia, kto nie chce wiedzieć więcej, być specjalistą w swojej dziedzinie? Dłaczegóż miano by ograniczać naturalną chęć rozwoju? Problem pojawi się wówczas, gdy w te skądinąd dobre pragnienia wpisze się mechanizm mody. Potrafi on je zepsuć na tyle, że staną się patologiczne. Taką jest teza niniejszego artykułu: sferą kształcenia uniwersyteckiego w Polsce zawładnęła dynamika mody, co sprawiło, że pograżyło się ono w swoistym kryzysie.

Główną przyczyną opanowania edukacji uniwersyteckiej przez modę było jej wejście na rynek – fakt ten zmienia zasadniczo paradygmat wykształcenia uniwersyteckiego. Aby to uchwycić załóżmy, nieco nostalgicznie i idealistycznie, sytuację modelową z przeszłości, np.: z okresu międzywojennego w Polsce. Nie chodzi nam tu o rzetelny opis rzeczywistości historycznej, lecz o pewien wzorcowy ogląd roli osób wykształconych. Wyższe wykształcenie było wówczas wyznacznikiem elity społecznej. Należeli do niej naukowcy, pisarze, prawnicy, politycy, duchowni, artyści, dyrektorzy i wszyscy, których zadania społeczne

² Teza ta jest antropologicznym założeniem niniejszych rozważań. Zależy mi na podkreśleniu wolności i sprawczości osoby ludzkiej tak wobec samej siebie, jak i wobec kultury. Są oczywiście alternatywne stanowiska, wedle których człowiek jest np. konstruktem kulturowym tudzież sumą wpływów jemu zewnętrznych.

naznaczone były dużą odpowiedzialnością za innych ludzi. Ze swych pozycji mieli troszczyć się o społeczeństwo i jego rozwój, kierować nim i zarządzać, tworzyć i stanowić autorytety. Tak pojęta elita wydaje się być w społeczeństwie naturalnie potrzebną. Kuźnią takich ludzi były uniwersytety. Absolwent uniwersytetu miał być naukowcem, ale także człowiekiem o wykształceniu wszechstronnym. Cechować go miała pewna wrażliwość: na drugą osobę, na dobro, na wartości. Człowiek taki potrafił odnaleźć w codziennych sytuacjach ludzkiego świata ów pierwiastek wyższy, osobowy, duchowy. Miał on inspirować innych do jego poszukiwań. Będąc elitą stanowił autorytet nie tylko naukowy i moralny, ale przede wszystkim osobowy³.

Zdobyte wykształcenie uniwersyteckie było dobrodziejstwem i nobilitacją, lecz jednocześnie zadaniem i społecznym zobowiązaniem. Posiadanie takiego wykształcenia nie mogło być moralnie i społecznie obojętne. Ludzie ci świadomi byli swej roli i ciężaru odpowiedzialności misji, jaką podjęli wobec społeczeństwa. Byli świadomi tego, co trafnie ujął Jacek Filek stwierdzając, że odpowiedzialność jest łącznikiem pomiędzy człowiekiem a światem⁴. Odpowiedzialność jest charakterystyczną cechą każdej relacji, w jaką wchodzi osoba ludzka – relacji do samej siebie, do drugiego człowieka, do wspólnoty. Można w tym miejscu stwierdzić, że idea wykształcenia uniwersyteckiego – o jakiej należy mówić, oprócz swego wymiaru naukowego, osobowego, indywidualnego, posiada swój wydzźwięk społeczny i nie może być od któregoś z nich odcięta. Życzliwy czytelnik zauważy, że w tym idealnym schemacie nie chodziło o pogłębianie podziałów klasowych, lecz o szeroko pojęte dobro wspólne. Takie bowiem podziały są w społeczeństwach widoczne i dzisiaj, można powiedzieć, że są naturalne i jako takie są dobre. Problemy i niebezpieczeństwa pojawiają się dopiero w sposobie ich rozgrywania.

Stało się jednak tak, że sfera edukacji uniwersyteckiej zaczęła odgrywać rolę na rynku, zaczęła być spostrzegana jako przynosząca zysk – korzyść finansową. Nie chodzi tutaj o to, że znaczna część społeczeństwa uzyskuje dostęp do edukacji, że wzrosły poziom i jakość wykształcenia, nie staram się tu opisywać wzrastającego wpływu edukacji na społeczeństwo i warunki jego życia. Z faktem, że posiadanie

³ Choć przywołany obraz idealnego absolwenta uniwersytetu ma tu stanowić bazę, tło dla zauważenia niepokojących aspektów czasów nam współczesnych, nie jest jednak pozbawiony oparcia - opowiada o nim prof. Artur Hutnikiewicz w rozmowie z Romanem Erdmanem. Zob. *Tożsamość Uniwersytetu. Antologia tekstów profesorów UMK*, pod red. W. Winclawskiego, Toruń 1994, s. 59-67.

⁴ Zob. J. Filek, *Filozofia jako etyka*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2001, s. 181.

wykształcenia uniwersyteckiego stało się powszechniejsze i łatwiej dostępne wiąże się to, że stało się ono finansowo opłacalne. I w tym miejscu pojawiła się patologia – wykształcenie uniwersyteckie uległo temu wartościowaniu, wedle którego liczy się przede wszystkim korzyść ekonomiczna. Stąd niedaleka już droga do tego, aby wykształcenie to stało się głównie towarem na rynku, dobrze sprzedającą się usługą, wymaganiem stawianym przed pracownikami, inwestycją *stricte* zarobkową, skutecznym narzędziem osiągnięcia zysku⁵. Na modzie coraz łatwiej zarobić można olbrzymie pieniądze i fakt ten jest w coraz większej mierze wykorzystywany. Następuje patogeniczna *instrumentalizacja* wykształcenia uniwersyteckiego, ponieważ odcina się je od zobrazowanej wyżej roli wychowania osobowego i naukowego, wychowania do odpowiedzialności społecznej oraz wyznacza się mu zadanie głównie osiągnięcia zysku. W ten sposób uniwersytet traci swą autonomię.

Po czym można rozpoznać, że powyższy scenariusz rozgrywa się na naszych oczach? Mamy dziś w Polsce wciąż wzrastającą liczbę szkół wyższych, akademii i uniwersytetów. Coraz więcej jest studentów oraz osób planujących rozpocząć studia. Więcej mamy liceów ogólnokształcących, przygotowujących do studiów, niż dobrych szkół zawodowych, techników i liceów profilowanych czy szkół zawodowych. Na tym polu rodzą się niebezpieczne mechanizmy. Wykształcenie uniwersyteckie jest często wystawionym przez pracodawcę warunkiem podjęcia pracy. Studiuje się po to, aby zyskać ciekawą i dobrze płatną pracę. Cel studiowania? Dla większości spośród studentów studia są przepustką do „lepszego” – czytaj: dobrze płatnej, nie fizycznej i obiecującej kariery – pracy. Kierunki studiów wybiera się według kryterium: „Co ja z tego będę miał, co będę robił po studiach?”.

Kolejnym niebezpieczeństwem, które stanowi już o charakterze mody, jest to, że wśród studiujących jest wielu, którzy do studiowania się po prostu *nie nadają*⁶, jednak robią to pod wpływem presji środowiska, wymagań na rynku pracy, tego heideggerowskiego „się”. Wydawało by

⁵ „Uczelnie wyższe zmuszone są do działalności zgodnie z wymogami rynku, w tym rynku pracy w szczególności i muszą dostosowywać podaż absolwentów do dynamicznie zmieniającego się popytu”. Zob. *Przemówienie Stanisława Dembińskiego w Senacie RP z dnia 8 XII 1989*, w: *Tożsamość Uniwersytetu*, dz. cyt., s. 86-87.

⁶ Nie należy się wstydić własnej niezdolności do studiowania na uniwersytecie, ponieważ świadczy ona o jakimś innym uposażeniu, innych zdolnościach osoby, np. o umiejętności myślenia technicznego lub predyspozycjach manualnych, organizacyjnych. Posiadanie wykształcenia uniwersyteckiego nie stanowi kryterium do rozróżniania ludzi na „lepszych” i „gorszych”, ponieważ stanowiąc o profilu danej osoby i jej funkcji w społeczeństwie nie stawia ich wyżej od profilu osobowego np. hydraulika i jego funkcji we wspólnocie. Obaj są tak samo wartościowi i niezbędni.

się, że studiowanie wymaga pewnych predyspozycji osobowych, potencjału naukowego i po prostu zdolności. Wraz ze zmianą nastawienia studenta do nauki zmienia się również poziom samej edukacji. Uniwersytety państwowe oraz wyrosłe jak grzyby po deszczu szkoły komercyjne dostosowują się do „wymagań studenta” i obniżają poziom nauczania ograniczając go do tego, co zawodowo niezbędne. Kryterium studiowania jest skuteczność zawodowa, konkurencyjność na rynku, pierwsze miejsca w rankingach. Na ile świadomie absolwenci liceów i sami już studenci podejmują swe studiowanie?

Ktoś mógłby jednak zapytać o studentów takich kierunków jak filozofia, teologia czy innych – humanistycznych, które wśród nastawionych „życiowo” budzą ironiczny uśmieszek na ustach. Czy oni także ulegli modzie na studiowanie? Nie świadczyłby o tym wybrany kierunek. W tym przypadku moda na wykształcenie uniwersyteckie objawia się w innej jeszcze patologii. Podejście studentów – nie tylko owych dwu wybitnie niepraktycznych kierunków - do studiów, do tego co robią, jest katastrofalnie nieautentyczne. Bolesne te słowa są aktem oskarżenia. Osób, które chcą po prostu „przetrawić” okres studiów jest dramatycznie dużo. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że powoli stają się oni większością. Świadczy o tym chociażby jakże często spotykane niezrozumienie tych studentów, którzy do studiów podchodzą poważnie, czasami w sposób emocjonalnie zaangażowany; są oni często traktowani jako budzący politowanie, „nawiedzeni” – bo wyrażają chęć, bo ambitnie traktują swe studiowanie. Są oni wyśmiewani z punktu widzenia studenta, wyznacznikiem postawy którego staje się jakiś poznawczo – moralny minimalizm, „nie wybijać się”, „zaliczyć”, „przeżyć”. Nie budzi powszechnego zdziwienia (i wzburzenia!) czyjeś wyznanie, że studiuje on tylko dla uzyskania dyplomu wykształcenia wyższego tudzież dyplomu danego uniwersytetu, który będzie przepustką do atrakcyjnych miejsc zatrudnienia. Inni znów czuliby się lepiej mając jakiś skrót przez nazwiskiem. Efekt jest taki, że spora liczba absolwentów uniwersytetów nie tylko prezentuje niski poziom – tak osobowy, jak i poziom wykształcenia, ale również nie umie wnieść wkładu swych studiów w życie codzienne, np.: nie umie systematycznie i płodnie pracować. Zagubiony zostaje *etos* studenta. Nie jest rzadkością, że studiujący nie zna zasad funkcjonowania biblioteki, że jest człowiekiem bezrefleksyjnym, bo nie zastanawia się. Smutnym, bulwersującym przykładem są nierzadkie kradzieże książek z uczelnianych bibliotek i czytelni. Na ilu absolwentów UMK czas studiów był pod względem rozwoju osobowego i naukowego czasem straconym? Praca nad samoświadomością studenta

jest w moim odczuciu jednym z najpoważniejszych i najaktualniejszych zadań stojących przed środowiskiem uniwersytetu.

Uczelnie, chcąc dostosować się do takich „wymagań” młodzieży obniżają wymagania i poziom nauki. Sztucznie rozszerzają ofertę edukacyjną, która ma „przyciągnąć” jak największą ilość chętnych do studiowania. Wiąże się z tym wzrastający stopień instytucjonalizacji – uniwersytet musi sobie organizacyjnie poradzić z dużą ilością osób studiujących. Poświęca się duże środki na marketing, reklamę danej uczelni, werbowanie doń nowych zaków. Zbyt duża liczba studentów uniemożliwia jednak nie tylko solidne przeprowadzenie egzaminu, lecz również pracę seminaryjną, która jest przecież podstawową komórką pracy naukowej na uniwersytecie. Nie jest rzadkością sytuacja, że profesor z powodu tłumów na swym seminarium nie jest w stanie zapamiętać imion swych magistrantów oraz zakresów problematyki ich prac. Świadczy o tym mizerny poziom naukowy pracy na uniwersytecie, co objawia się w jakości prac studentów i skandalicznych mechanizmach mnożenia przez pracowników nauki publikacji o wątpliwym poziomie naukowym⁷. Brakuje środowiska naukowego, uniwersytet traci atmosferę pewnej elitarności, podniosłości i rzetelności spotkań naukowych.

Wśród szkół średnich przeważają licea ogólnokształcące, które z istoty swej przygotowują do studiowania na uniwersytecie. Ich absolwenci, zbyt liczni, idą na uniwersytet albo dlatego, że po LO „idzie się na studia”, rodzaj „owczego pędu”, albo z powodu braku dla nich pracy. Ta sytuacja nie zmienia się zresztą po skończeniu przez nich studiów. Oczywiście, przyczyną tego nie jest tylko fakt, że absolwentów liceów i uniwersytetów jest zbyt dużo. Rynek pracy nie jest przystosowany do tak wielkiej ich ilości. Pytanie: czy powinien być?

Pierwszym skutkiem mody na wykształcenie uniwersyteckie jest spadek poziomu nauczania na uniwersytetach, jednak nie tylko na nich. Młodzi ludzie zaczynający pracę jako nauczyciele nie potrafią ani poradzić sobie z młodzieżą, ani utrzymać wysokiego poziomu edukacji podstawowej, gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej. Brak motywacji, którą jest wysoki poziom studiowania, powoduje zanik ambicji wśród licealistów. Dramatycznie niski poziom osobowo-naukowy nauczycieli w szkołach jest efektem mody na wykształcenie uniwersyteckie. Nauczycieli tych trzeba sobie wychować, a jeśli nie potrafi zrobić tego uniwersytet, jeśli podczas studiów przyszli nauczyciele nie nauczą się być elitą społeczeństwa, to nie powinniśmy dziwić się aktualnej sytuacji polskiego szkolnictwa. Prostą tego konsekwencją jest spadek poziomu

⁷ Por. M. Grabowski, *Istotne i nieistotne w nauce*, Wyd. Rolewski, Toruń 1998, s. 5-6.

społeczeństwa: gazeta „Fakt”, programy „rozrywkowe” w telewizji Polsat i TVN to tylko niektóre przykłady chamstwa, bezrefleksyjności i trywializacji kultury. Innym, jakże namacalnym skutkiem omawianej mody jest brak chętnych i kompetentnych osób do wykonywania takich zawodów jak: murarz, tokarz, księgowy, kierowca, kucharz, handlowiec, sprzątaczką itd. Zawody te zostały przez ludzi „wykształconych” zepchnięte na dno hierarchii społecznej – nic dziwnego, że młodzi niechętnie na nie patrzą. Iluż studentów pozdrawia, zauważa, szanuje osoby pracujące na ich wydziałach jako sprzątający, portierzy czy pracownicy administracji? Tymczasem chodziłoby o afirmację, dowartościowanie tych zajęć i umożliwienie zdobywania kompetencji zawodowych w tych dziedzinach, o umożliwienie rozwoju osobowego osób tam pracujących. Prawda jest o tyle trywialna, co brutalna: w Polsce nie potrzeba aż tylu, jak dziś, magistrów „po uniwersytecie”. W zbyt dużej ich liczbie upatrywać można jednej z przyczyn emigracji młodych do krajów Europy Zachodniej, gdzie i tak niewielu z nich pracuje zgodnie ze swym uniwersyteckim wykształceniem.

Podejście studentów do wymienionych wyżej zawodów daje do myślenia na innym jeszcze polu. Otóż moda na wykształcenie uniwersyteckie rodzi takie niebezpieczeństwo, że ludzie zamiast zastanawiać się nad własnym miejscem na ziemi, zamiast zaczynać w tym świecie w pełni funkcjonować, idą na studia, które, w ich wykonaniu, uczą nieróbstwa i oduczają myślenia o rzeczywistości w sposób poważny, rzetelny, rzekłbym – dorosły. Wśród kończących studia wiele osób to tzw. „duże dzieci” – pokolenie niedojrzałych, którzy są najzwyczajniej nieprzygotowani do dorosłego życia – bo przez pięć lat studiów zdażyły się uniewrażliwić na doniosłość takich trudnych tematów. Zamiast zachęt myślenia o sobie i swym indywidualnym powołaniu na absolwencie LO wywierana jest presja otoczenia – kto nie idzie na studia, temu coś już się w życiu nie udało, ten stracił swą „szansę” na lepsze życie. Wysilek samopoznania, trud odnalezienia swego indywidualnego powołania jest zastąpiony atrakcyjną ofertą permissywnej postawy studenta – lekkoducha. W tym przypadku czas studiów jest nie tylko straconym, co wysoce szkodliwym. Afirmować należy postawę tych, którzy zdając sobie sprawę z tego, że edukacja uniwersytecka nie jest „dla nich”, wybierają alternatywne drogi rozwoju zawodowego. Mają oni taką większą szansę rozwoju osobowego niż rozleniwiony student. W rzeczywistości, tęsknimy za wysokim poziomem wykształcenia średniego, zawodowego, więc próbujemy łączyć tę dziurę studiami wyższymi. Moda na bycie studentem mnoży przypadki tych, dla których droga wykształcenia uniwersyteckiego jest im niewłaściwa, nie jest ich,

jest dla nich jakoś głęboko nieprawdziwa. Ich wybór takiej, a nie innej, drogi edukacji nie był ich wyborem – zabrano im, nie bez ich przyzwolenia, wolność wyboru wraz z odpowiedzialnością za nim idącą.

Uniwersytety przekształcają się w wyższe szkoły zawodowe, tytuł magistra nie jest tytułem naukowym, lecz zawodowym, a przecież zadaniem uniwersytetu nie jest nauka zawodu, lecz wykształcenie kogoś, kto rzeczywiście będzie *magister* (łac.) – nauczycielem, doradcą, przewodnikiem, mistrzem⁸. Jest takie niebezpieczeństwo, że uniwersytet zatraci swój naukowo-dydaktyczny charakter na rzecz tylko przygotowania zawodowego. Nie chcemy w tym miejscu obniżać wartości wyższych szkół zawodowych. Ich rozwój jest jednym z postulatów niniejszego artykułu. Nie można jednak stawiać znaku równości pomiędzy nimi a uniwersytetem. Zadaniem wyższych szkół zawodowych jest przygotowywanie do rzetelnego i uczciwego wykonywania określonego zawodu. Powstaje tutaj pytanie o specyfikę, pewien istotny charakter edukacji uniwersyteckiej, który odróżniałby go od np.: wyższych szkół zawodowych. Propozycję odpowiedzi dał prof. Tadeusz Czeżowski: „Sądzę, że różnicę między wyższą szkołą zawodową w uniwersytecie należy powiązać z różnicą celów kształcenia; wyższa szkoła zawodowa jest nastawiona przede wszystkim na kształcenie, uniwersytet nastawiony jest na kształcenie indywidualności twórczej (...). Inne są bowiem metody nauczania w uniwersytetach niż w wyższych szkołach zawodowych”⁹.

Życzliwy czytelnik zauważy, że w niniejszym tekście nie krytykuję wykształcenia uniwersyteckiego w ogóle, bądź w tej formie, jaką mamy dzisiaj. Nie sprzeciwiam się kształceniu, lecz sprzeciwiam się kształceniu pozornemu, ponieważ nie wyrabia ono trwałych postaw, np.: moralnych, naukowych, nauczycielskich, zawodowych, rodzinnych. Takie pozorne kształcenie jest w moim przekonaniu efektem mody, jaka nastąpiła na studiowanie na uniwersytecie. Grozi ona deprecjacją idei (i instytucji) uniwersytetu, deprecjacją, której skutkiem jest zauważalny już dziś proces znoszenia elit moralno-intelektualnych oraz niski poziom społeczeństwa. Albo zgodzimy się na ideę wykształcenia wyższego, albo – dostosowując ją do aktualnych prądów społecznych – dalej będziemy konsekwentni w

⁸ *Słownik łacińsko-polski*, pod red. K. Kumanieckiego, PWN, Warszawa 1967, s. 300.

⁹ Określenie *eidosu* wykształcenia uniwersyteckiego jest zadaniem trudnym. Problematyka ta została poruszona np. przez prof. Krzysztofa Pomiana na tegorocznym wykładzie inauguracyjnym UMK – zob. „Głos Uczelni”, październik 2006 nr 10(248), s. 8-10. Temu zagadnieniu poświęcona została cała antologia, z której pochodzi niniejszy cytat. Zob. T. Czeżowski, *O ideale uniwersytetu*, w: *Tożsamość Uniwersytetu*, dz. cyt., s. 32.

pozbawianiu wykształcenia uniwersyteckiego jego pierwotnego sensu. Jeśli chcemy coś powiedzieć o zadaniach uniwersytetu, to – pośród wielu innych – jednym z podstawowych będzie wychowywanie i kształcenie elit społeczeństwa. Moda na wykształcenie uniwersyteckie definitywnie znosi to zadanie i w tym upatrywałbym oznak kryzysu edukacji uniwersyteckiej w Polsce. Reakcja na to zagrożenie musiałaby sięgać edukacji średniej. Należałoby zastanowić się nad rozwojem szkół średnich profilowanych zawodowo, wyższych szkół zawodowych, edukacji pomaturalnej. Dobrym pomysłem wydaje się być przywrócenie do szkół filozofii nauczanej rzetelnie i z pasją. Znaczącym zmianom musiałby ulec sposób finansowania uniwersytetów.

Na koniec przytoczmy słowa Kazimierza Brodzińskiego z 1826 roku: „Do uniwersytetu nie tylko przychodzimy po nabycie zasad w obranych naukach, ale po nabycie w ogólności zasad gruntownego myślenia i postępowania; przychodzimy tu zamienić usposobienie nasze w charakter i wolę! Niech więc żaden, wstępując na uniwersytet, nie sądzi, że przychodzi wprost po pieczęć na prawnika, lekarza, geometrę itd. Gdyby wychowanie publiczne miało za cel kształcić tylko ludzi do tego lub owego zawodu, uniwersytet, w ogóle swoim, nie byłby potrzebny – dość by było na specjalnych szkołach różnych umiejętności”¹⁰.

¹⁰ Cyt. za: S. Kalemka, *Uniwersytet wobec współczesności*, w: *Tożsamość Uniwersytetu*, dz. cyt., s. 75.